

Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis

Studia Poetica I (2013)

PARATEKSTY I KOMENTARZE

„Bawiło mnie odtworzenie czegoś w określonym stylu...”. Z Hanną Sokołowską, autorką *Kosy, czyli ballady kryminalnej o Nowej Hucie* rozmawia Magdalena Roszczynialska

MAGDALENA ROSZCZYNIALSKA: Zacznijmy od pytania o tytuł: dlaczego *Kosa*, z dookreśleniem *ballada*?

HANNA SOKOŁOWSKA: Oczywiście ze względu na pseudonim bohaterki – nauczycielki matematyki, która zostaje zamordowana i cała akcja wcześniej i później wokół tego wydarzenia krąży. „Kosa” miała też w Nowej Hucie podwójne znaczenie, ale o tym mało ludzi wie. Można było np. „dać komuś kosę”, czyli po prostu zakaz.

MR: ... „ożenić kosę”, „mieć z kimś kosę” ...

HS: ... kosa jest synonimem ostrego narzędzia, noża...

MR: lub oznacza w miejskim slangu antagonizm. Czy pisząc inspirowała się pani folklorem?

HS: Tak, miałam pewne skojarzenia z *Balladyną* Słowackiego i balladą Mickiewicza, gdzie „pani zabiła pana” ...

MR: W *Kosie* jednak jest na odwrót, pan zabija panią, choć bynajmniej nie niewinną.

HS: Pomyślałam też, że będzie bardziej interesująco, jeśli połączę w książce różne elementy: historię kryminalną i utwór liryczny. Ballada kryminalna wydała mi się więc właściwym podtytułem.

MR: Trzeba pamiętać, że Nowa Huta była kojarzona po pierwsze jako dzielnica, do której, wraz ze swą obyczajowością, napłynęła ludność wiejska, oraz po drugie jako dzielnica proletariacka. Istnieje odmiana gatunkowa – ballada podwórzowa, związana z folklorem miejskim, z identyfikowanym jako niebezpieczne i fascynujące przedmieście. To ostatnie określenie pojawia się nawet w tytule innej wydanej niedawno związanej z Nową Hutą książeczki, w *Alfabecie nowohuckiego przedmieścia*, autorstwa lokalnego radnego i miłośnika dzielnicy, Macieja Twaroga. Jest tam też hasło: „kosa”.

HS: Tak, pan Maciej jako jeden z niewielu rozszyfrował to drugie, środowiskowe znaczenie „kosy”. Dlatego jego dłuższą wypowiedź na ten temat umieściłam na skrzydełku okładki mojej książki. Spodobało mi się, że on to tak od razu – jako nowohucianin – złapał.



Ryc. 1. Okładka książki Hanny Sokołowskiej *Kosa, czyli ballada kryminalna o Nowej Hucie*, Kraków 2012, projekt: Olga Olechowska

MR: Czy *Kosa...* oparta jest na pani wspomnieniach?

HS: Tak, rzeczywiście. Początkowo chciałam tylko napisać jakiś artykuł o Nowej Hucie w latach siedemdziesiątych. Kolekcjonowałam w związku z tym różne historie...

MR: Czy to były historie wydobywane z własnej pamięci? Czy z szuflad?

HS: Z własnej pamięci, z cudzej, z anegdot, z rozmaitych źródeł. Na przykład: przeglądałam stare gazety znalezione w walizce mojego ojca i bardzo mnie bawiły zamieszczone tam anonse. Powiedzmy takie coś (co włączyłam później do książki): „powracającemu z zagranicy wynajmę”. Każdy wtedy wiedział, że to oznacza: „za dolary”, ale handel walutą był niedozwolony. Jest to stwierdzenie zupełnie dzisiaj nieczytelne. Takich historii było wiele. Uznałam, że warto je spisać, bo inaczej przepadną z kretesem. A potem postanowiłam nadać mojemu zbiorowi kryminalną dramaturgię... *Love story* mi jako konwencja nie pasowało...

MR: A czy są w *Kosie...* tropy autobiograficzne?

HS: Sporo, ale oczywiście nie wszystko. Ówczesni seryjni mordercy nie graso-wali w Nowej Hucie. Ale mój ojciec – podobnie jak ten książkowy – był profesorem matematyki. Marianna, główna bohaterka, jest w jakimś stopniu moim archetypem. Rzeczywiście szybko biegałam i interesowałam się głównie chłopakami. Pierwowzorem Poldka jest mój kolega, aktor i późniejszy opozycjonista z osiedla



Ryc. 2. Portret Hanny Sokołowskiej ze skrzydełka okładki, rys. Olga Olechowska

Hanna Sokołowska – autorka *Scenariuszy teatralnych dla nauczycieli niepokornych*, założycielka odnoszącego sukcesy teatryku dziecięcego Starlets, nauczycielka angielskiego

Górali. W książce jest takim niedowarzoną ideologiem rewolucji antysocjalistycznej i autorem sztuki teatralnej *Nowohucka Ballada 1976*. Historia o złamanym nosie Krzysia też jest prawdziwa i zdarzyła się przy mnie, kiedy to w dowód lokalnego patriotyzmu „chłopaki” z osiedla pobili odprowadzającego mnie do domu chłopaka. Natomiast moją ulubioną bohaterką jest Belcia.

MR: Izabella jest co prawda roztrzępaną trzpiotką, ale to ona rozwiązuje zagadkę kryminalną.

HS: Najbardziej lubiłam pisać partie z Izabellą i to nie tylko dlatego, że jest sympatyczna. Mogłam być w stosunku do tej postaci ironiczna, bawić się nią. Moja siostra mi to na szczęście wybaczyła... [śmiech].

MR: W *Kosie...* „gra” też topografia, odtworzone realia miasta z lat siedemdziesiątych XX wieku, jest nawet dołączona mapka przedstawiająca plan Nowej Huty w roku 1976 z zaznaczonymi istotnymi dla przebiegu akcji punktami.

HS: Jedyną rzeczą, którą w topografii zmieniłam, to lokalizacja i numer szkoły, do której uczęszcza Marianna i w której ginie Kosa. Liceum im. Bolesława Bieruta w rzeczywistości mieściło się na osiedlu Kolorowym, w książce natomiast – na osiedlu Spółdzielczym.

MR: Z notki biograficznej na okładce książki można wyczytać, że wychowała się pani w Nowej Hucie. Jak pani rodzina się tam znalazła?

HS: Mój ojciec – *nota bene* z bardzo ciekawą historią życia, lewicowym inteligentnym rodowodem i epizodem w Powstaniu Warszawskim – pochodził z Warszawy, a moja mama z Kielc. W Krakowie znaleźli się z powodu studiów, poznali na obozie ZMP i młodo pobrali. Początkowo mieszkali w akademiku, kiedy więc mojej mamie kończącej studia polonistyczne zaproponowano pracę i duże mieszkanie w centrum Nowej Huty, przenieśli się tam bez wahania. Nie wspominał tamtego miejsca i czasu jako złych. Ojciec był profesorem matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, a moja mama dyrektorką szkoły, co w tamtejszym środowisku robotniczym było rzadkością, a ja czułam się wyróżniona. A poza tym panujący wówczas komunizm wcale nie był taki straszny, dla kogoś, kto się w tym systemie urodził.

MR: A czy była wtedy odczuwalna stygmatyzacja nowohuckim adresem? Poczucie, że Nowa Huta, początkowo planowana jako odrębne miasto, jest wobec Krakowa owym Innym, w domyśle – gorszym, podrzędnym, niechcianym?

HS: Tak, zdecydowanie. Gdy wyjeżdżałyśmy z siostrą na kolonie letnie organizowane przez Uniwersytet Jagielloński często słyszałyśmy komentarze: „Nie, wy nie jesteście z Krakowa, Nowa Huta to nie to samo!” Trochę nas to deprimowało i miałyśmy poczucie, że rzeczywiście jesteśmy gorsze.

MR: Krakusy zadzierają nosa? Chodzi o elityzm krakowski?

HS: Tak, na pewno. Chodziło też o niechęć właśnie do Nowej Huty, do tego, że nagle wokół pięknego uniwersyteckiego miasta zbudowano fabrykę, sprowadzono Bóg wie kogo, ściągnięto ludzi z całej Polski i to często o jakiejś kryminalnej proweniencji...

MR: Wiele osób podkreśla, że Nowa Huta dała im awans społeczny i punkt zaczepienia w życiu.

HS: Jednak w tamtym czasie Kraków się nieco puszył tą swoją postawą „anty-”. Ojciec jechał kiedyś z uniwersytetu taksówką z kierowcą, który wiedział, że wiezie do domu profesora. Kiedy usłyszał dyspozycję: „do Nowej Huty”, odparł: „to pan profesor z Nowej Huty? Ja bardzo panu współczuję”.

MR: Zła sława Nowej Huty wywodzi się chyba jeszcze z tych czasów, kiedy ją budowano i działało się to wszystko, co opisał Adam Ważyk w *Poemacie dla dorosłych*, np. byli ci osławieni junacy...

HS: W czasie budowania Nowej Huty działy się straszne rzeczy. Złodziejstwa, gwałty i napady były w barakach na porządku dziennym. Ja tego oczywiście nie pamiętam, ale nawet w nowohucianach był strach przed tak zwanym elementem napływowym. Pamiętam taki obrazek. Mieszkaliśmy na Centrum D, a w okolicy oddawano do użytku blok, który nazywaliśmy „domino”. Miałam jakieś pięć lat i właśnie dowiedziałam się o istnieniu śmierci. Chciałam wiedzieć, co stanie się z naszym mieszkaniem, gdy my umrzemy. „Przyjdą nowi ludzie” – odpowiedziała mama. I wkrótce rzeczywiście zobaczyłam taką gromadę, tłum ludzi idących z walizkami, tobołkami, wózkami, z dziećmi na rękach. Nikt nie miał auta ani nawet motoru. „Domino” zostało właśnie udostępnione nowym lokatorom, ale ja wpadłam w straszną panikę. Przybiegłam do domu obwieścić, że przyszli nowi ludzie i teraz nas po prostu wyrzucą. Pewnie tego też bał się Kraków. Że będzie miał obok siebie tych niebezpiecznych „nowych ludzi”...

MR: A jeszcze przy całym tradycjonalizmie krakowskim...

HS: ... zadufaniu! Mój przyjaciel, Andrzej, wychował się przy ulicy Sarego i dla niego istnieje wyraźny podział społeczeństwa na warszawistów, scyzoryków (to ci z Kielc) czy nowohutasów. Na dodatek „Ruscy” zainstalowali im, krakusom, nowy, niechciany ustrój i wybudowali dymiącą fabrykę...

MR: Nie obawiała się pani oskarżeń o apologię PRL-u? Takie nostalgiczne powroty do epoki, która w obecnej doktrynie przeszłości jest oczerniana, mogą być odbierane dwuznacznie.

HS: Każda epoka jest na swój sposób interesująca. Dla mojego pokolenia lata siedemdziesiąte to mimo wszystko miłe wspomnienie, a dla młodych ludzi to trochę

przerazająca bajka o czasach, gdy papier toaletowy był luksusem, a na dzinsy wydawało się pół miesięcznej pensji.

MR: Nową Hutę jako taką, jak również jej literacką reprezentację w *Kosie*... można uznać za fuzję dwóch – patrząc z dzisiejszego punktu widzenia – egzotyzmów. Łączą się tu egzotyczność PRL-u i egzotyczność proletariackiej dzielnicy. Być może zaciekawienie współczesnych czytelników przypomina takie zaciekawienie etnografa, który zwiedza odległe kraje i im się dziwuje.

HS: To prawda. Pośrednio moją inspiracją była książka Junga Changa *Dzikie łabędzie*. To opowieść o losach trzech pokoleń kobiet w maoistycznych Chinach. Czytałam ją z zapartym tchem. Złe czasy, pełne nędzy i zbrodni zawsze fascynują.

MR: W pani książce to zło jest obecne, przecież są paskudni bohaterowie, donoszą, kradną... Tytułowa Kosa jest wstrętną szantażystką. Padają też sformułowania przejmujące grozą, np. Maurycy Knapp pisze w ostatnim liście, że zło można tylko złem zwyciężać. To jest etycznie dość wyrazisty pogląd i to, jak uważam, przejmująco zgrozą.

HS: Może ja też tak czasami myślę... Poza tym jest w nas chyba pewna ambiwalencja: potępiamy coś, ale właśnie o tym chętnie czytamy i piszemy.

MR: A wracając do Nowej Huty. Internetowe statystyki turystyki miejskiej w Krakowie pokazują, że Nowa Huta cieszy się coraz większą popularnością. Jeśli chodzi o atrakcje turystyczne miasta i okolic, ta dzielnica znajduje się wysoko, aż na ósmym miejscu. Sądzę, że wielu turystów – nie tylko zagranicznych – tym właśnie się fascynuje, nie tylko legendą komunizmu i PRL-u, ale...

HS: ...urbanistyką tej dzielnicy. To był pod tym względem ewenement. Wiele ludzi twierdzi, że w dzisiejszych czasach nie potrafilibyśmy w równie szybkim tempie wybudować takiego miasta.

MR: Zresztą to piękny projekt urbanistyczny.

HS: Chociaż przez wiele lat miasto zanurzone było w wiecznym błocie. Przez błoto brnęło się do pracy i w błocie bawiły się dzieci. Nie było drzew ani trawników.

MR: Osiedla w każdym razie projektowano „dospołecznie”.

HS: Typowe osiedle w Nowej Hucie otoczone jest blokami, często połączonymi ze sobą. Prowadzą do niego szerokie bramy, ale tylko nowohucianie wiedzą, gdzie są klatki przechodnie. Bardzo się, swoją drogą, ta wiedza przydała w czasach licznych demonstracji w latach osiemdziesiątych. Milicjanci byli bezradni! W środku osiedla jest przeważnie ogródek jordanowski, z huśtawkami i piaskownicą. Pilnowanie dzieci nie było więc problemem. Poza tym każde osiedle miało swój zespół sklepów, budowano też wiele szkół i przedszkoli.

MR: Realizowano tu koncepcję jednostki sąsiedzkiej; to była dobra urbanistyka.

HS: Tak. Wbrew stereotypom było to bezpieczne miasto, w którym każde dziecko wychodziło codziennie na pole i to na wiele godzin.

MR: Niedawno będąc w Stylowej, zwróciłam uwagę, że przychodzą tam tubylcy-bywalcy. Odświętnie ubrani starsi mieszkańcy wpadają na kawę; wydaje się, że w centrum tego nie ma, życie wyparli turyści.

HS: Może i tak, ale nie przesadzałabym z tą legendą socjalną dzielnicy. Gdybym się nie urodziła i nie wychowała w Nowej Hucie, to bym się nią tak nie fascynowała. Człowiek się gdzieś urodził, toteż ma związane z tym miejscem sentymenty. Na przykład z rozczuleniem wspominam Empik, czyli Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, gdzie się siedziało nad jedną herbatką przez wiele godzin. Ale czy rzeczywiście to było takie fantastyczne miejsce? Nawiasem mówiąc, każdy kojarzy dziś Empik z siecią księgarni, a wtedy był to rodzaj klubu i czytelnia. Plac Centralny też zupełnie inaczej niż dziś wyglądał, uważaliśmy w Nowej Hucie, że jest to miejsce bardzo eleganckie. Nie było tak dużo aut i panowała tam swoista, kulturalna atmosfera, ze względu na Empik właśnie, ale też księgarnię Dom Książki, Cepelię, kawiarnię Stylowa czy restaurację Arkadia.

MR: Co się stało z wielkimi salami Arkadii?

HS: Najpierw zajęła je Moda Polska, potem szmateks, a teraz mieści się tam sieciowa drogeria...

MR: Jest pani patriotką nowohucką? Uczestniczy pani w przedsięwzięciach kulturalnych związanych z Nową Hutą? Bo tam dużo się teraz dzieje, jest i teatr Łąźnia Nowa wraz z całą otoczką (pismo „Lodołamacz” i klub Kombinator), jest i nowohucki oddział Muzeum Historycznego Miasta Krakowa z małą, acz interesującą ekspozycją, były plany powołania muzeum PRL-u, które obecnie funkcjonuje tylko w wersji wirtualnej, udostępniając np. dokumenty historii mówionej. Podobny charakter – ocalania świadectw przeszłości – mają prace wspomnianego już, radnego Twaroga, jak również Łucji Piekarskiej-Duraj. Jacek Gądecki opublikował właśnie książkę o procesach gentryfikacyjnych w Nowej Hucie (*I Love NH*), warunkiem istnienia których jest przecież posiadanie przez dzielnicę potencjału kulturowego?

HS: Troszkę tak jest. Piszę taką serię – wspomnienia o Nowej Hucie, rodzaj przewodnika po zapomnianych, ciekawych miejscach, do czego zainspirował mnie redaktor naczelny „Głosu – Tygodnika Nowohuckiego”, Jan Franczyk [współautor, wraz z Ryszardem Dzieszyńskim, *Encyklopedii Nowej Huty*, Kraków 2006 – M.R.].

MR: Jak pani ocenia tzw. widowiska przeszłości, czyli wycieczki po Nowej Hucie dla – głównie zachodnich – turystów utrzymane w aurze minionej epoki (typu Crazy Guides, Communism Tour), których pomysł polega na zwiedzaniu dzielnicy jako skansenu, parku etnograficznego?

HS: Trudne pytanie. Sama idea podoba mi się: istnieją różne formy przekazywania wiedzy, więc jeśli rezultat jest pozytywny i uczestnicy tych wycieczek mają przynajmniej jakieś wyobrażenie o tym, jak tu kiedyś wyglądało, to czemu nie? Z drugiej strony bardzo ważny jest sposób, w jaki to wszystko się robi.

MR: A jeśli to tylko symulacja, niedająca żadnego wyobrażenia ani o przeszłości, ani nawet o współczesnej jej ocenie?

HS: Jak *reality show*? Cóż, świat się toczy w tym kierunku i nie wiem, czy damy radę ten pęd powstrzymać i czy rzeczywiście powinno się go powstrzymywać.

MR: Obok niewątpliwego wymiaru ekonomicznego, przedsięwzięcia te wpisują się w model *edutainment*.

HS: Mają edukacyjny potencjał. Wiem, jak reagują na tego typu działania dzieci, bo od dziesięciu lat prowadzę dziecięcy teatrzyk. Młodzi ludzie wolą grać niż oglądać. Pewnie i my tacy byliśmy, ale możliwości bardzo nas ograniczały. Scenariusze przedstawień też muszą być inne, odważniejsze. Historia Zosi, która zgubiła piórnik, raczej odpada. Konkurencja filmu i gier komputerowych bardzo zobowiązuje.

MR: Czy tworzy pani wyłącznie autorskie scenariusze, czy także adaptacje?

HS: Kiedyś zrobiłam adaptację książki, która mnie od zawsze zachwyca, czyli *Cyberiady* Stanisława Lema, a dokładniej jednego z opowiadań. No i mam nadzieję, że uda się *Kosę* wystawić w teatrze Łaźnia Nowa. Dostałam taką propozycję i scenariusz jest już prawie gotowy.

MR: *Kosa* także łączy potencjał edukacyjny – o czym, w moim przekonaniu, niezbicie świadczą dołączone przypisy – z funkcjami rozrywkowymi. Kryminał jest gatunkiem ludycznym, ale mówi się także, że stanowi parabolę społeczną, rodzaj „świadcstwa antropologicznego” (takie określenie pojawia się w podtytule poświęconego powieści kryminalnej opracowania Mariusza Czubaja); szopka jest modelem dla kabaretu, ale Stanisław Wyspiański wykorzystał w *Weselu* jej wzorzec dla spraw poważnych. Podobnie jest w pani książce, za sprawą owego pieczołowitego (a nawet lirycznego, czułego) odtworzenia warstwy historyczno-obyczajowej, tych wszystkich realiów, językowych i innych, epoki. Dla ludzi, którzy nie żyli w tamtym czasie – ja jeszcze pamiętam tamtą epokę, z najwcześniejszego dzieciństwa, z 1976 roku, kiedy toczy się akcja *Kosy*, nie pamiętam co prawda nic albo bardzo niewiele, ale całą tę siermiężną rzeczywistość lat osiemdziesiątych jak najbardziej; jednak moi studenci, którzy mają lat dwadzieścia, czyli urodzili się już w wolnej Polsce po 1989 roku z powodów biograficznych nie mogą tego pamiętać – dla nich to jest zamierzchła historia. Tym bardziej, że poczucie historyczności się bardzo zaburzyło i wydarzenia bardzo i niezbyt odległe w czasie uległy jakby kompresji, wydają się jednakowo dalekie.

HS: Pytani przez mnie licealiści jeszcze wiedzą, kim był Lenin, ale w szkole podstawowej prawidłowo odpowiedziała tylko jedna dziewczynka.

MR: Akurat ta nieodległa przecież przeszłość została z przyczyn ideologicznych niemal całkiem wymazana, moralnie skreślona i potępiona. PRL dopiero czeka na swoją opowieść. Jak sądzę – filmową. Może Wojtek Smarzowski sprostą temu zadaniu? A czy pani pisarstwu towarzyszyła intencja edukacyjna? Czy było to uświadomione?

HS: W pewnej mierze. Pomyślałam, że czytelnik dowie się rzeczy, o których niekoniecznie usłyszy na lekcjach historii. Pozna szczegóły obyczajowe, codzienność zwykłych ludzi. Uznałam, jak już mówiłam, że kryminał jest formułą atrakcyjną, potencjalny czytelnik może upatrywać czegoś ciekawego w sensacyjnej fabule, a ja przemycę tyle interesujących szczegółów, ile zechcę.

MR: To trochę, jak w *Złym* Leopolda Tyrmanda. Niski gatunek – Witold Gombrowicz napisał, że to romans brukowy – przemycił elegię o mieście. Nawiasem mówiąc i tu, i w tamtej powieści generatorem zła są przeklęte brylanty. Wracając do *Kosy* – jako realizacja poetyki kryminału utwór odznacza się jednak bardzo niecodzienną

formą. Stanowi polifonię zapisanych „głosów” – głosów, bowiem balladę się śpiewa, zapisanych, bowiem dominują formy pierwotnie lub wtórnie skryptyralne, czyli wprawdzie spisane, ale o proveniencji oralnej: mamy pamiętnik, dziennik, zapiski obserwacji, raporty, zeznania, listy i temu podobne; rzadko występują formy mówione, plotki.

HS: W dwóch czy trzech miejscach jest podsłuchana rozmowa.

MR: Jest też modlitwa Genowefy Drożdż, zanoszona w całkiem prywatnych intencjach prośba, żeby pan Bóg źle uczynił sąsiadkom, kapitalnie odzwierciedlająca ludową, magiczną nowohucką religijność. Ale dominują formy wypowiedzi piśmienne, sprawiające wrażenie zbioru archiwaliów, które mógłby badać historyk, a tymczasem to czytelnikowi powierza się misję scalenia wszystkich wątków. W typowym kryminale jest narrator, który panuje nad całością i prowadzi czytelnika za kolejnymi krokami śledztwa, w dawniejszym posiłkowano się też figurą adresata narracji detektywnej, tak, żeby czytelnik miał szansę na rozumienie posunięć śledczego. Natomiast tu jest to zrobione zupełnie inaczej, brak nadrzędnej świadomości narratorskiej i nie ma postaci detektywa.

HS: Niby jest kapitan Wcisło, ale on jest trochę nieporadny. To dziennik Marianny ma funkcję porządkującą poszczególne wątki.

MR: Niewątpliwie, Marianna jest „głosem” wiodącym. Jednak *de facto* powieźra pani w o wiele większym stopniu niż zwykła powieść kryminalna prowadzenie śledztwa czytelnikowi. Oczywiście, on zawsze prowadzi w lekturze kryminału swoje śledztwo (chyba, że jest złym czytelnikiem i zerka na rozwiązanie zagadki wcześniej), ale tu się musi bardziej pomęczyć, ze względu na brak nadrzędnej instancji – to jest złamanie konwencji. Czy ta dramatyczna forma, włącznie z listą *dramatis personae* umieszczoną na początku, jest wynikiem pani teatralnych fascynacji i doświadczeń?

HS: Jest pani kolejną osobą, która zwróciła na to moją uwagę!

MR: Wróćmy zatem do wątku „archiwistycznego”. Ma pani usposobienie historyka? Wspominała pani na początku naszej rozmowy o zbieraniu historii.

HS: Chyba nie za bardzo. Czasami coś z przeszłości mnie zainteresuje i o tym czytam, ale żebym miała jakąś pasję historyczną, to nie. Mam raczej zainteresowania literackie i bardziej mnie zaciekało pisanie o minionej epoce właśnie jako wyzwanie lingwistyczne. Chodziło mi o to, żeby napisać różnymi stylami i różnymi formami. Kiedyś zapytano mnie podczas wywiadu w Radiu Kraków, z czego korzystałam, skąd, z jakich czasopism zaczerpnęłam ogłoszenia prasowe, które znalazły się w książce. Sprawilo mi to wielką przyjemność, gdyż prowadząca wywiad redaktorka uznała, że zapewne większość z tych prasowych notatek po prostu przepisałam.

MR: Ale fragmenty z „Głosu Nowohuckiego” [w rzeczywistości tygodnik ukazujący się w latach 1957–1991 nosił tytuł „Głos Nowej Huty” – M.R.] są prawdziwe?

HS: Nie, skądże, wszystko jest wymyślone, od samego początku do końca.

MR: Nawet rozglądałam się w książce za jakąś notą bibliograficzną, która odwoływałaby do konkretnych materiałów, ale jej nie znalazłam. Czyli książka jest taką – o czym już rozmawialiśmy – symulacją.

HS: Tak, właśnie. Andrzej, mój przyjaciel, pomagał mi „polerować” niektóre kwestie, a czasami nawet kłóciliśmy się, czy określone słowa i wyrażenia wówczas funkcjonowały.

MR: Czyli wszystko państwo ze słuchowej pamięci odtworzyli?

HS: Tak. Dużo czasu mi zajęło wyzbywanie się języka, który teraz mam, tego mimowolnego, odzwierciedlającego współczesne realia i doświadczenia, przykładowo związane z inną niż kiedyś rzeczywistością ekonomiczną. Tak więc historykiem nie jestem, po prostu bawiło mnie odtworzenie czegoś w określonym stylu. Ale owszem, starałam się nie robić błędów faktograficznych. Książka była konsultowana z historykiem, moim znajomym, który też mieszkał w Nowej Hucie. Sprostował różne moje niedociągnięcia, chociaż błąd zawsze się wkradnie. Marianna chodzi np. do klubu Fama – co nie jest możliwe. Klub ten powstał dopiero w roku 1977. Pomyliłam się o parę miesięcy.

MR: Zbiera pani, poza słowami, jakieś rekwizyty przeszłości, przedmioty z epoki, *vintage*?

HS: Czasami zbieram. Lubię stare rzeczy, przede wszystkim, gdy mają swoją historię. Poza tym mam mnóstwo rekwizytów na potrzeby teatryku, który prowadzę; zbieram, bo zawsze mi się wydaje, że coś się przyda. Mamy też mały teatrzyk kukielkowy w stodole w Porębie. To idealne miejsce na różne stare szpargały.

MR: Publiczność dopisuje?

HS: Nasz Las Porębas odwiedza głównie rodzina, przyjaciele i sąsiedzi, bo sztuki są kabaretami, gdzie się trochę z siebie nawzajem nabijamy...

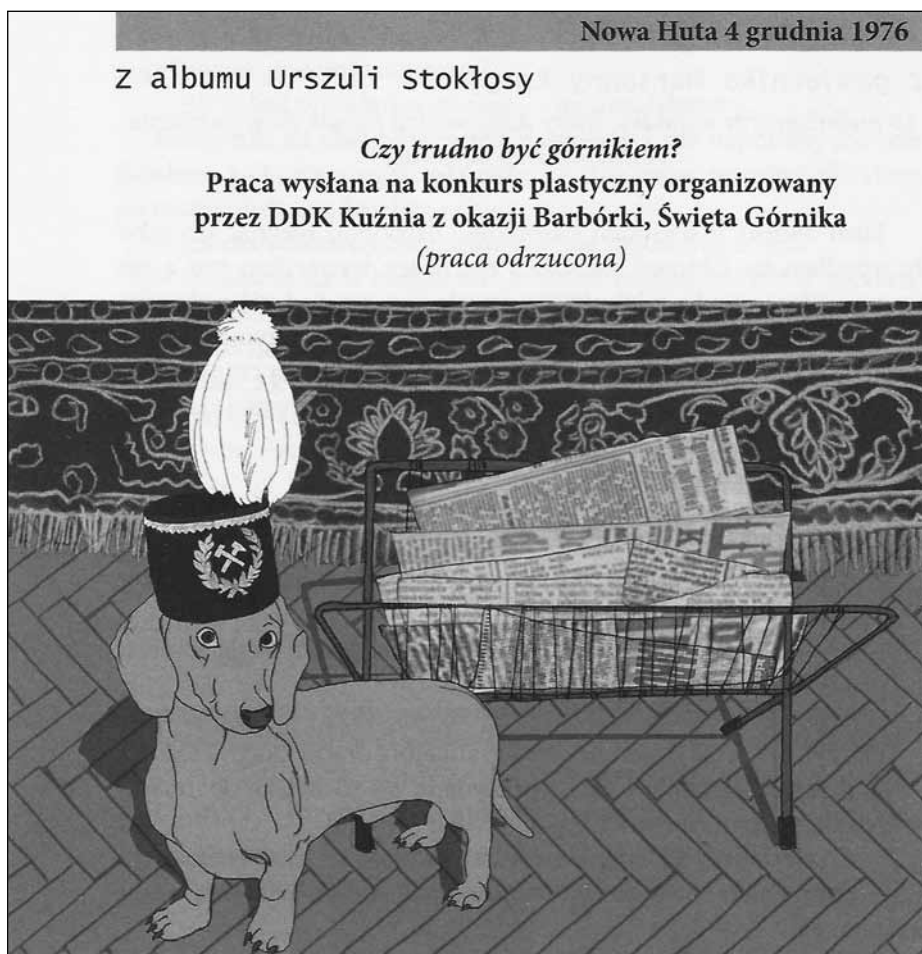
MR: Efekt książkowy jest taki, jakby oddawała pani głos samym bohaterom, trochę tak, jak w nieklasycznych dziełach historycznych czy etnograficznych, gdzie zamiast interpretacji uczonego mamy wielogłos tych, którzy mieli stanowić materiał badawczy. Wybór tego rodzaju konwencji powoduje, że z przedmiotów stają się równoprawnymi podmiotami, partnerami. Ustrój – bądź co bądź totalitarny – w czasach, które pani odtwarza, usiłował ową podmiotowość zniwelować. Pani bohaterki, w szczególności Belcia, są dowodem na zwycięstwo indywidualizmu nad biurokracją, w tym przypadku Milicją Obywatelską, która nie potrafi wykryć sprawy zbrodni. Nawiasem mówiąc, czy istnieją jakieś analogie pomiędzy wydarzeniami wykreowanymi w pani powieści a tym zetknięciem warstw społecznych i kultur, jakie nastąpiło w Nowej Hucie? Mam na myśli fakt, że jak każda bajka, *Kosa*... kończy się motywem wesela, ślub łączy zaś przedstawiciela władzy ludowej, milicjanta z dziewczyną, która jednak reprezentuje warstwę...

HS: ... inteligenckie.

MR: Inteligenckie, w dodatku o pochodzeniu szlacheckim.

HS: Myślę, że tak. Choć właściwie to połączenie miało stanowić żart. Liczyłam, że przynajmniej niektórzy czytelnicy go dostrzegą.

MR: Cały tekst charakteryzuje podobna dwuwarstwowość, pisanie szyfrem. Przede wszystkim mamy tu chwyt tekstu w tekście: w *Kosę*, czyli *balladę kryminalną o Nowej Hucie* włączona jest *Nowohucka Ballada 1976*, będąca fragmentami wierszowanego dramatu autorstwa jednej z postaci wykreowanych na potrzeby

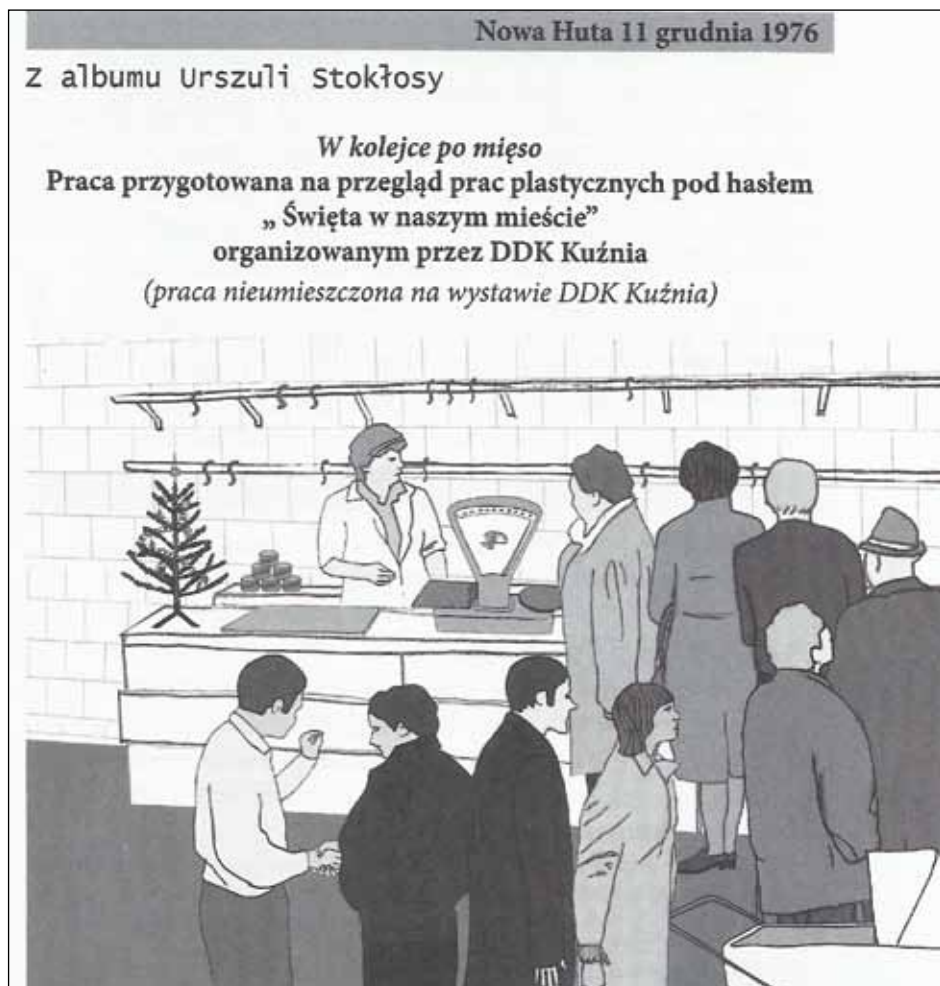


Ryc. 3. Jedna z ilustracji książki H. Sokołowskiej *Kosa, czyli ballada kryminalna o Nowej Hucie*, Kraków 2012, s. 144, rys. Olga Olechowska

kryminału, o czym już była wcześniej mowa. Ta „ballada” jest o tyle ważna, że zostaje przez prowadzących śledztwo: na poziomie tekstu – milicjantów, na poziomie recepcji – czytelników, potraktowana jako szyfr, którego odcyfrowanie umożliwi odnalezienie sprawcy morderstw i określenie motywów jego działania. Oczywiście ten trop prowadzi na manowce. Akurat takie rozsiewanie fałszywych poszlak stanowi domenę konwencji kryminalnej. Rodzajem podobnej ironicznej gry są także włączone w tekst rysunki Olgi Olechowskiej. Czy one powstawały równoległe z książką, czy zostały dorysowane później?

HS: Z rysunkami była cała historia. Początkowo ilustrował ktoś inny, ale mimo niewątpliwego kunsztu rysowniczk, w ogóle nie wyglądało to tak, jak chciałam.

MR: A teraz w ten sposób wygląda?

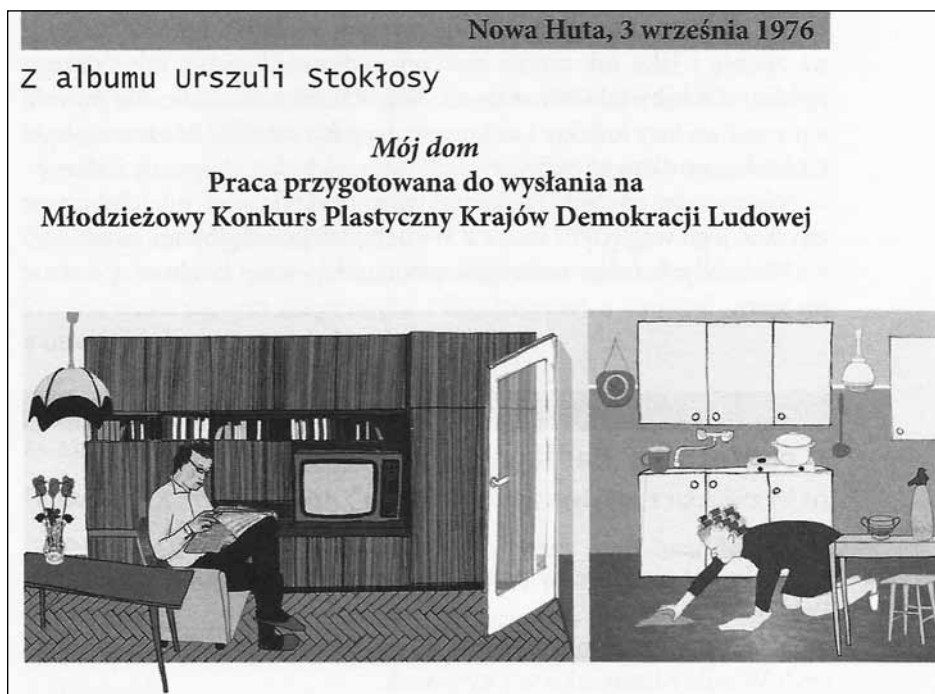


Ryc. 4. Jedna z ilustracji książki H. Sokołowskiej *Kosa, czyli ballada kryminalna o Nowej Hucie*, Kraków 2012, s. 151, rys. Olga Olechowska

HS: Tak. Wszystko dzięki Gai Grzegorzewskiej, która przy okazji jednej z książek współpracowała ze swoją kuzynką, Olgą Olechowską, absolwentką grafiki Uniwersytetu Śląskiego. Zobaczyłam jej rysunki i zrozumiałam, że to jest właśnie to. Ilustracje...

MR: ... właściwie samoistne fragmenty polifonicznego tekstu, odrębne wypowiedzi, bo przecież jako ich „autorka” występuje jedna z postaci, Urszula Stokłosa...

HS: ... są efektem końcowym naszych rozmów i ciągłych korekt. Ale zazwyczaj fantastycznie się uzupełniałyśmy. Ja najczęściej rzucałam ogólny pomysł, np. jamnika w czapce górniczej, a Olga dorysowała obok gazetownik wypełniony tytułami z epoki albo stylowy dywanik.



Ryc. 5. Jedna z ilustracji książki H. Sokołowskiej *Kosa, czyli ballada kryminalna o Nowej Hucie*, Kraków 2012, s. 15, rys. Olga Olechowska

MR: Właśnie o tym rysunku myślałam, jako przykładzie zabawnego sposobu puentowania akcji. Niebagatelną rolę odgrywają też podpisy, kiedy, dajmy na to, rysunek przedstawiający puste haki i półki w sklepie mięsnym zatytułowano: „*W kolejce po mięso*”. Praca przygotowana na przegląd prac plastycznych pod hasłem «Święta w naszym mieście» organizowany przez DDK Kuźnia. (Praca nieumieszczona na wystawie DDK Kuźnia)”. Te wszystkie rysunki wysłane na konkurs, nieprzyjęte albo odrzucone są z tych właśnie przyczyn niebywale ironiczne

HS: Chyba właśnie przez jednakowe rozumienie ironii tak świetnie nam się z Olgą pracowało. Te rysunki od niej były jak prezenty, czekałam z niecierpliwością na każdy mail. Chociaż ona nie pamięta dobrze PRL-u i nigdy nie mieszkała w Nowej Hucie, znakomicie ten klimat uchwyciła. Jej prace są dla mnie takim pomostem pomiędzy pokoleniami. Wiadomo, że odnoszą się do tamtych czasów, ale jest też oczywiste, że powstały współcześnie. Tak nie można było wtedy rysować. Ironię cenzura by wyczuła.

MR: Ich współczesność widoczna jest m.in. w akcentach feministycznych. Przykładowo: o bynajmniej nie symetrycznych relacjach damsko-męskich traktuje jeden z rysunków, przygotowany na Młodzieżowy Konkurs Plastyczny Krajów Demokracji Ludowej. Zatytułowany *Mój dom* – przedstawia siedzącego w fotelu w salonie i czytającego gazetę mężczyznę oraz kobietę, która w tym czasie na

czworakach w kuchni zmywa podłogę. Takich znamionujących ironiczny dystans kolizji jest w tekście sporo.

HS: Wielopoziomowość powoduje, że wielu czytelników odkrywa w *Kosie...* coś dla siebie i cieszy mnie, gdy o tym mówią. O to mi właśnie chodziło.

MR: Intertekstualność i wieloadresowość cechuje wiele tekstów kultury popularnej, do której przynależy kryminał, a która odgrywa dziś ważną rolę w kształtowaniu pamięci, w upamiętnianiu przeszłości. Jak się dziś uważa nie historia monumentalna, ale pamięć, czyli historia prywatna jest medium odniesienia do tego, co minione i z czym musimy się uporać.

HS: To bardzo ciekawe – takie odrzucenie odgórnego widzenia, zadekretowanej wersji historii.

MR: I pani się *Kosq...* w ten nurt wpisuje.

HS: Ale nie spodziewam się specjalnych sukcesów w konkursie podczas wrocławskiego festiwalu kryminalnego. Moja książka nie jest typowym kryminałem.

MR: Obraca się pani w – że tak to ujmę – „kryminalnym” środowisku?

HS: Przez przypadek jedynie. Gaję Grzegorzewską znam od dzieciństwa, uczyłam ją angielskiego, jesteśmy sąsiadkami. Poznałam również Edwarda Pasewicza, mam coś zrobić dla Sceny 21, ale to dopiero pomysł, więc nie będę go tutaj zdradzać...

MR: Będziemy zatem czekać na kolejne inicjatywy artystyczne. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Kraków, *Konfederacka 4*, 14 marca 2013